

Marnie MacGraw pragnie prostego życia – męża, dzieci, kombi i domku na przedmieściach. Wychodzi za mąż, więc jest pewna, że wkrótce to wszystko dostanie. I wtedy spotyka Blix Holliday, krewką ciotkę swojego narzeczonego, która jest swatką i na dodatek umiera. Wkrótce całe życie Marnie się zmieni, dokładnie tak, jak zapowiedziała Blix.

Gdy po dwóch koszmarnych tygodniach małżeństwo dobiega końca, świat Marnie przewraca się do góry nogami. Szok pogłębia nowina, że odziedziczyła należący do Blix dom w Brooklynie wraz ze wszystkimi jej niedokończonymi „projektami”, czyli skrzywdzonymi przez miłość, czmychającymi przed szczęściem, trochę dziwacznymi przyjaciółmi i sąsiadami. Marnie nie wierzy w swoją wyjątkowość, ale jednak Blix skądś wiedziała, że to właśnie ona jest idealną kandydatką, aby kontynuować jej dzieło.

Blix wiedziała też, że Marnie musi odebrać od życia kilka trudnych lekcji: że miłość trudno dostrzec, a czasami to właśnie ci, którzy ją odrzucają, potrzebują jej najbardziej.

Tytuł oryginału
Matchmaking for Beginners: A Novel
Copyright © 2018 by Maddie Dawson
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Patrycja Siedlecka
Korekta:
Barbara Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-884-9

MADDIE DAWSON

**SWATANIE
DLA
POCZĄTKUJĄCYCH**

**TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA**

OŚWIĘCIM 2019

1 BLIX

Prawda jest taka, że nie powinnam była tu przyjeżdżać. Nie minęła nawet siedemnasta, a już marzę o szybkiej, błogiej śpiączce. O czymś spektakularnym, z eleganckim zwaleniem się bez życia na podłogę, z gałami wywalonymi na drugą stronę i drgawkami kończyn włącznie.

Trwa coroczna, „pobożonarodzeniowa” herbatka u mojej siostrzenicy, wiecie, o co chodzi, kiedy ludzie muszą nagle zgromadzić się po kilku tygodniach zakupów, imprez oraz kaców, gdyż Wendy Spinnaker wymaga, aby *jeszcze raz* przywdziali czerwone swetry i portki w kant, zjechali się gromadnie i stali godzinami w jej salonie, podziwiając drogie dekoracje świąteczne, wyremontowaną posiadłość, i pili kretyńskie czerwone drinki podawane na tacy przez jakąś licealistkę w stroju kelnerki.

Na ile potrafię stwierdzić, w całym tym spędzie chodzi o to, by moja siostrzenica mogła przypomnieć dobrym obywatelom Fairlane w stanie Wirginia, że jest Bardzo Ważną Personą, i do tego bogatą – siłą, z którą należy się liczyć. Filantropką. Przewodniczącą wszelkich możliwych instytucji. Prawdę powiedziawszy, pogubiłam się już, ilu dokładnie.

Korci mnie, żeby wstać i zorganizować głosowanie. *Kogo nastrój zmarniał doszczętnie w ciągu kilku ostatnich godzin? Ilu z was chciałoby sformować ze mną taneczny pociąg i wyjechać nim prosto przez drzwi? Wiem, że znalazłabym kilku zwolenników. A potem siostrzenica zamordowałaby mnie we śnie.*

Mieszkam daleko i jestem stara jak próchno, więc nawet nie musiałam tu przyjeżdżać – przez większość minionych lat mia-

łam na tyle oleju w głowie, by unikać tej hucpy – ale Houndy powiedział, że tym razem muszę się tu pojawić. Powiedział, że będę żałowała, jeżeli nie spotkam się z rodziną po raz ostatni. Przejmuje się takimi sprawami, jak żale na łożu śmierci. Wydaje mi się, że wyobraża sobie, iż koniec życia wygląda jak finał melodramatu: wszystko schludnie owinięte i przewiązane piękną kokardą, a do tego powszechne przebaczenie grzechów. W prawdziwym życiu jednak tak nie jest.

– Pojadę. – Ustąpiłam mu w końcu. – Ale nie przyznam się, że jestem chora.

– Sami się domyślą, gdy cię zobaczą.

Oczywiście *nie* domyślili się.

Co gorsze, w tym roku przyjęcie będzie trwało w nieskończoność, bo syn mojej siostrzenicy, Noah, właśnie się zaręczył, więc wszyscy czekają, aż przyjedzie ze swoją narzeczoną z Kalifornii, żeby ta mogła ujrzeć na własne oczy, w jak zacną socjetę się wżeni.

– To tylko jakaś trzpiotka, poznana przez niego na konferencji, która wymyśliła, jak sprytnie wziąć go na haczyk – poinformowała mnie przez telefon Wendy. – Prawdopodobnie nie ma w głowie ani jednej sprawnie działającej szarej komórki. Pracuje w przedszkolu, wyobrażasz sobie? O jej rodzinie też nie ma co wspominać, ojciec pracuje w ubezpieczeniach, a matka, z tego, co wiem, nie robi nic. Pochodzą z *Floh-rydy*. Właśnie tak to wymawia. *Floh-ryda*.

Dumałam nad słowem *trzpiotka* i zachodziłam w głowę, cóż może ono znaczyć we wszechświecie Wendy. Mnie nazwałaby zapewne równie lekceważąco. Musicie wiedzieć, że nadal uchodzę za czarną owcę w rodzinie, tę, na którą trzeba mieć czujne oko. Oburzająca Blix. Nie mogą znieść, że zabrałam swój spadek i wyjechałam do Brooklynu – który, jak każdy wie, jest miejscem nie do zaakceptowania, zamieszkanym przez „tych” z Północy.

Rozglądałam się po tym domu, niegdysiejszej siedzibie naszej rodziny, w ciągu całych pokoleń przekazywanej przez uko-

chaną córę ukochanej córce (z pominięciem mnie, naturalnie) i wkładam całą swoją moc w to, żeby blokować fale złej energii przesączające się przez parkiet. Trzymetrowa sztuczna choinka z lampkami i szklanymi ozdobami od Christophera Radko próbuje mnie przekonać, że wszyscy bawią się przednio, ale dziękuję wam bardzo, ja swoje wiem.

Zgnilizna toczy tę rodzinę u samego rdzenia, nieważne, co próbują wam wmówić ozdoby.

Widzę rzeczy takimi, jakie są, mój wzrok przenika przez sztuczność i obłudę. Nadal pamiętam prawdziwą świetność tego miejsca, zanim Wendy Spinnaker postanowiła wydać tysiące dolarów na lipną renowację fasady.

Renowacja świetnie streszcza natomiast całą filozofię tej rodziny: zakłajstrować wszystko, co prawdziwe, i nie zapomnieć o forniowaniu wierzchu. Wtedy nikt się nie dowie.

Ale ja wiem.

Podchodzi do mnie lekko zawiany starszy dżentelmen o nieświeżym oddechu i zaczyna opowiadać o jakichś fuzjach bankowych, które fuzjuje, i przejęciach, które przejmuje, oraz dodaje, że według niego moja siostrzenica to jedyna osoba władna sprawić, aby grzanki z serem smakowały jak stare skarpetki. Już mam się z nim zgodzić, gdy dociera do mnie, że tak naprawdę te ostatnie słowa wcale nie padły z jego ust. W pokoju jest za głośno i za gorąco, więc odparowuję dżentelmena za pomocą mojego umysłu, naturalnie w mig znika.

Ma się te talenty.

Następnie, cud nad cuda, kiedy już wszyscy mieliśmy ulec rozpaczcy i ciężkiemu picciu, drzwi wejściowe otwierają się ze hukiem i przyjęcie nagle nabiera energii, jakby ktoś na powrót podpiął je do prądu i pozwolił uczestnikom wrócić do życia.

Dotarła para młoda!

– Hej, wszyscy! Wszyscy! Naturalnie znacie mojego kochanego, genialnego Noaha, a to, a *to* jego wspaniała narzeczona, Marnie MacGraw, już wkrótce *wyborna* synowa! Witaj, *kochanie!*
– Klaszcze i woła Wendy, pędząc do sieni.

Kwartecik smyczkowy w rogu salonu uderza w *Here Comes the Bride*, wszyscy się zlatują, wymieniają z młodymi uściski dłoni i zasłaniają mi widok. Słyszę, jak Noah, dziedzic rodzinnej zuchwałości, gromkim głosem opowiada o locie i korkach, podczas gdy jego narzeczoną przekazują sobie z rąk do rąk i przytulają, jakby była jakimś współwłasnym towarem. Przechylając głowę w prawo, zauważam, że naprawdę jest śliczna – wysoka, szczupła, rumiana i złotowłosa, ma na głowie niebieski beret, przekrzywiony z wesołą dziarskością, którą nieczęsto spotyka się na przyjęciach u Wendy.

A potem dostrzegam w niej coś jeszcze, w sposobie, w jaki zerka spod swej złotej grzywki. I nagle – *puw!* – nasze spojrzenia się spotykają i przysięgam, że przeskakuje między nami krótki błysk.

Planowałam wstać z kanapy, ale zamiast tego, zapadłam się w nią głębiej, zamknęłam oczy i ścisnęłam palce.

Znam ją. O mój Boże, naprawdę mam wrażenie, że ją znam.

Zebranie się do kupy zajmuje mi kilka dobrych chwil. Może jednak się mylę. No, bo jak to możliwe? Ale nie. To prawda. Marnie MacGraw wygląda dokładnie jak ja w czasach największej chwały, stoi tam, dając odpór nawałnicy południowych wyższych sfer, a ja widzę je obie, starą i młodą, i czuję, jak moje starsze serce zaczyna walić, jak dawniej.

Podejdz tu, kochanie, nadaję w jej stronę komunikat bez słów.

A więc to dlatego – *dlatego* – się tu znalazłam. Wcale nie chodziło o zakończenie długich lat rodzinnych swarów. Nie chodziło o picie tych idiotycznych drinków ani ostatnie odwiedziny w mojej kolebce.

Miałam poznać Marnie MacGraw.

Położyłam dłoń na brzuchu, dotykając guza, który rośnie tam od zeszłej zimy – twardej, litej masy, która zabije mnie, zanim nadejdzie lato.

Podejdz tu, Marnie MacGraw. Mam ci tyle do opowiedzenia.

Jeszcze nie. Jeszcze nie. Nie podchodzi.

Ach, tak. Oczywiście. Gdy jesteś przedstawiana uprzejmej południowej socjecie, gdy jesteś przeznaczona dziedzicowi, masz obowiązki do wykonania. A pod ich ciężarem Marnie MacGraw robi się rozedrgana, zdenerwowana – a następnie popełnia kosztowne *faux pas*, tak wybornie okropne, że już samo to sprawiłoby, iż miałabym o niej jak najlepsze mniemanie do końca życia, nawet gdybym nie znała jej wcześniej. *Odmawia* przyjęcia porcji grzanek Wendy. Z początku, gdy talerz zmierza w jej kierunku, tylko uprzejmie kręci głową. Stara się przekonywać, że nie jest głodna, ale to ewidentnie nieprawda, bo podróżowała z Noahem przez wiele godzin, a mierząca ją laserowym wzrokiem Wendy wie, że przegapili zarówno śniadanie, jak i obiad, i musieli żyć o serwowanych w samolocie orzeszkach.

– Dlaczego, kochanie? Przecież *musisz* jeść! Nie masz na tych kosteczkach ani jednej zbędnej kalorii, niech Bóg ma cię w swojej opiece!

Zamykam oczy. Przyjechała tu dopiero kilka minut temu, a już zasłużyła sobie na śmiercionośne „niech Bóg ma cię w swojej opiece”. Roztrzęsiona już nie na żarty Marnie wyciąga dłoń, bierze bułeczkę drożdżową, a do tego jedno czerwone winogrono, ale to za mało.

– Nie, nie, nie, moja droga, zjedz grzanekę – nalega Wendy. Znam ten ton. Noah jakimś cudem nie wyjaśnił swej prawdziwej miłości, że prawo tej rodziny *wymaga*, by goście skosztowali grzanek, a następnie padli na podłogę, rozpluwając się w zachwytach nad ich wspaniałością, niezmiennie *tak bardzo* przebijającą wspaniałość zeszłoroczną.

I wtedy Marnie mówi coś, co przypieczętowuje jej los.

– Tak... tak bardzo mi przykro, ale naprawdę nie czuję się komfortowo, jedząc króliki¹.

Zakrywam usta dłonią, żeby nie widzieli, jak bardzo się śmieję.

Aha! Oczy mojej siostrzenicy zaczynają błyszczeć i zaśmiewa się tym swoim łamliwym, strasznym rechotem, po czym wypowiada słowa, na dźwięk których wszyscy przerywają rozmowy i zaczynają się gapić.

– Moja droga, *skąd* przyszło ci do głowy, że *grzanki* mają cokolwiek *wspólnego z królikami*? Na miłość boską!

– Przepraszam, ja nie... och, przepraszam...

Ale słowo się rzekło. Co się stało, już się nie odstanie. Propozycja zostaje anulowana, a Wendy cofa talerz, kręcąc głową. Ludzie wracają do przerwanych rozmów. Wendy przybiera pozę pokrzywdzonej. *Ta dzisiejsza młodzież. Za grosz manier.*

A co podczas tej scenki porabia Noah, zbawca i obrońca Marnie? Wychylam się, by zobaczyć. Ach tak, oczywiście oddalił się z Simonem Whipple'em, swoim najlepszym przyjacielem. Widzę, jak w sąsiadującym z salonem pokoju bilardowym śmieje się z jakiejś opowiadki Whipple'a, obaj jak ręce konie przestępują z kopytka na kopytko z uciechy nad jakimś niezrozumiałym, bezsensownym żartem.

Wstaję więc i idę po nią. Na policzkach Marnie widnieją dwa jaskrawe rumieńce, a po ściągnięciu beretu jej blond włosy stają się rozpuszczone i może nawet ciut zmierzwione, przypuszczalnie Wendy już to zauważyła i uznała za największą obrazę. To uczesanie odpowiednie na plażę. Nie przystoi śmietance towarzyskiej. A już na pewno nie należy do fryzur, jakie elita Fairlane w stanie Wirginia powinna oglądać podczas swojej dorocznej, poświętecznej herbatki.

Zabieram ją więc do swojego zakątka i klepię wolne miejsce na kanapie obok mnie. Siada i dotyka skroni palcami.

¹ Grzanki z serem to po angielsku „welsh rarebit”, czyli w brzmieniu coś podobnego do „rabbits” oznaczającego „króliki” (przyp. tłum.).

– Tak mi przykro. Jestem taka głupia, prawda?

– Proszę, dosyć już tych przeprosin, kochana.

Widzę w jej oczach, że zaczyna rozumieć, ile gaf zdażyła już popełnić. Pomijając kwestię królika, jej strój nie pasuje do tego rodzaju wieczorku towarzyskiego. Czarne, obcisłe spodnie! Luźna bluzka! Na morzu wymaganych przez etykietę czerwonych, kaszmirowych swetrów, usztywnionych sprejem fryzur zakonnych czy kolczyków w kształcie Świętych Mikołajów, Marnie MacGraw z jej cienkimi, wpadającymi do oczu blond włoskami ośmiela się włożyć szarą koszulkę – bez choćby jednego świadka podkreślającego, że Boże Narodzenie to najświętsze ze świąt, a poświęteczna herbatka to jego najlepsza część! A te buty: turkusowe kozaczki! Oczywiście, są fantastyczne. Ale członkowie tej socjety w takich nie chadzają.

Ściskam jej dłoń, żeby ją uspokoić i niepostrzeżenie obejrzeć jej linię życia. Gdy jesteś starą kobietą, możesz łapać i dotykać ludzi, bo nie stanowią zagrożenia, a przez większość czasu wydajesz się niewidzialna.

– Nie zwracaj uwagi na Wendy – szepczę. – Opuściła zajęcia z dobrych manier, bo wzięła podwójny kurs z onieśmielania i zastraszania.

Marnie spuszcza wzrok na swoje dłonie.

– Nie, to ja zachowałam się koszmarnie. Powinnam po prostu przyjąć grzanki.

– Bynajmniej, kurwa – szepczę, a ona zaczyna się śmiać. Ludzie uwielbiają, gdy stare kobiety mówią *kurwa*; przeklinając, łamią najwyraźniej wszelkie prawa natury. – Próbowałaś po prostu grzecznie odmówić zjedzenia słodkiego futrzaka, a i tak zostałam zawstydzona.

Spojrzała na mnie.

– Ale to wcale nie jest z królików, chyba.

– Cóż, ale brzmi, jakby było. Niektórzy naprawdę nazywają tę grzanki królikiem. Czy szykując się do przyjazdu na świąteczną

herbatkę, miałaś przestudiować wszystkie północno-europejskie potrawy? Dajże spokój!

– Powinnaś to wiedzieć.

– Słuchaj, po czyjej jesteś stronie? Własnej, czy Władczynie Napuszonego Dworu?

– Co takiego?

Klepię ją w dłoń.

– Jesteś rozkoszna. A prawda wygląda tak, że moja siostrzenica zachowuje się jak sierżant. Spójrz na tę zbieraninę. Zazwyczaj też nie lubię krytyczną postawą ściągać na siebie mocy piekielnych, ale tylko popatrz na te wymuszone uśmiechy i skwaszone miny. Kiedy wrócę do siebie, będę musiała szorować się przez pół dnia, żeby zmyć tę negatywną energię. I zalecam ci to samo. Banda cholernych hipokrytów opychająca się grzankami, choć te nawet im nie smakują. I wiesz co?

– Co?

– Nawet gdyby zrobiła to z króliczych bobków, to i tak by je dli. Bo Wendy Spinnaker jest ich panią i przywódczynią – mówię teatralnym szeptem.

Zaśmiała się. Kocham jej śmiech. Siedzimy w uprzejmym milczeniu – dla wszystkich postronnych jesteśmy jedynie dwiema nieznanymi, które oddają się życzliwym pogaduszkom o niczym, tylko dlatego, że wkrótce staną się rodziną. Ale ja aż płonę z potrzeby opowiedzenia jej wszystkiego. Oczywiście startuję kiepsko, bo całkiem odwykłam od takich lekkich pogaduszek.

– Opowiedz mi więc o sobie. Czy robisz wszystko, co chciałabyś robić jako panna, zanim na zawsze zwiążesz swoje życie z życiem tego faceta?

Nieznacznie unosi brwi.

– Cóż, tak, mam dobrą pracę i... zrobiłam to i tamto. Byłam w kilku miejscach. Wie pani. Mam prawie trzydzieści lat, więc najwyższa pora, żebym przygotowała się do prawdziwej dorosłości. Czas się ustatkować.

– *Ustatkować*. Wstrętnie to brzmi, nie sądzisz?

– Myślę, że... brzmi to całkiem miło. To znaczy, jeżeli naprawdę jesteś zakochana, to dobrze w końcu przestać gonić i stworzyć wspólny dom. – Rozgląda się po salonie, pewnie szuka jakiegoś tematu zastępczego, a po chwili ponownie na mnie spogląda. – A przy okazji, pięknie się pani dziś ubrała.

Mam na sobie fioletową, atłasową, staromodną suknię wieczorową, którą kupiłam w lumpeksie w Brooklynie. Jest obszyta tworzącymi okręgi szklanymi paciorkami i ukazuje rzucający się w oczy *dekolt*. Nie żeby mój dekolt był czymś ciekawym; prawdę powiedziawszy, wygląda jak worek z pestkami brzoskwiń.

– Ta sukienka to mój gwóźdź programu – mówię, po czym nachylałam się i znowu szepczę. – Jestem dziś absurdalnie dumna z moich dziewcząt. Prawdę mówiąc, musiałam skępować je za pomocą drucianego stanika, żeby się jako tako prezentowały, ale uznałam, że mogę im zapewnić ostatnie chwile chwały. Od jutra koniec ze stanikami. Obiecałam im.

– Piękne kolory. Ja nie wiedziałam, co włożyć, więc wybrałam tę szarą koszulkę, bo uznałam, że będzie pasować do wszystkiego, ale w porównaniu do ubrań innych, jest taka nijaka. – Nachyla się i śmieje. – Chyba nigdy nie widziałam tylu czerwonych swetrów w jednym pomieszczeniu.

– W Fairlane w stanie Wirginia to bożonarodzeniowy mundur. Dziwię się, że nie wydali ci jednego na rogatkach miasta.

Podchodzi licealistka z tacką drinków i obie bierzemy czerwoną miksturę. Dla mnie to już czwarta, ale kto mi będzie liczył? Stukam swoją szklanką w jej, uśmiecha się. Nie potrafię oderwać wzroku od jej oczu, które są tak podobne do moich, że to aż niepokojące. Czuję delikatne mrowienie na skórze głowy.

– Więc myślisz, że po ślubie nadal będziesz tym cudownym wolnym duchem, sobą?

Otwiera szeroko oczy.

– *Wolnym duchem?* – zanosi się śmiechem. – Nie, nie, nie. Żle mnie pani odbiera. Naprawdę chcę się ustatkować. Kupić dom, urodzić dzieci. – Uśmiecha się. – Myślę, że człowiek musi mieć plan na życie.

Słyszając te słowa, cicho wzdycham, po czym sięgam do dekoltu, aby poprawić dziewczęta.

– Może w tej kwestii się pomyliłam. Chyba nigdy, nawet przez minutę, nie realizowałam żadnego planu na życie. Powiedz mi jedno: warto rezygnować dla niego z wolnego ducha?

– Plan na życie zapewnia po prostu bezpieczeństwo. To zobowiązanie.

– Och, o to chodzi. To teraz już wiem, dlaczego nigdy na to nie poszłam. Za każdym razem, gdy ktoś wspomina o bezpieczeństwie, przechodzą mnie ciarki. I jeszcze *zobowiązanie*. Fuj!

– Hmm. A pani nie wyszła za mąż?

– Oj, Boziu, ależ wyszłam. Dwa razy. W zasadzie prawie trzy. Za pierwszym razem za profesora o znamienitym nazwisku, Wallace Elderberry, proszę ciebie. – Nachyliłam się jeszcze bliżej Marnie, kładę dłoń na jej dłoni i uśmiecham się. – Spędził *swoje* drogocenne życie, badając żywot pewnego zielonogłowego owada. Jeździliśmy po Afryce i zbieraliśmy okazy oskorupionych żyjątek tak dziwacznych, że nie chciałybyś mieć z nimi do czynienia nawet przez dwadzieścia sekund. Wyobrażasz to sobie? A gdy wróciliśmy, zdałam sobie sprawę, że mam dość robaków na całe życie. – Obniżam głos do szeptu. – A jeśli chcesz znać prawdę, to i sam Wallace Elderberry zaczął przypominać mi wielkiego karalucha. Więc się rozwiedliśmy.

– Wow. Mąż przemieniony w karalucha. Zabrzmiało Kafką.

– Boże, czy to nie wspaniałe, gdy ludziom udaje się wciągnąć Kafkę do rutynowej, świątecznej pogadanki?

– Sama pani zaczęła. A co z drugim mężem? W co takiego on się przeistoczył?

– Za drugim razem wyszłam za mąż wbrew własnym przeczuciom... czego, nawiasem mówiąc, nigdy, przenigdy nie powinnaś robić, jeżeli takowe masz...

– Nie mam.

– Naturalnie, że *ty* nie masz, ale to częsty błąd, wielu ludzi go popełnia. Wracając, tym razem wyszłam za Rufusa Hallorana, radcę prawnego, z którym w latach siedemdziesiątych otworzyliśmy małą firmę w Brooklynie. Oj, panował tam wtedy bajzel. Mieliliśmy dużo pracy z różnymi włóczęgami i bezdomnymi. Tego typu sprawy.

– I co się z nim stało? Też zamienił się karalucha?

– Nie. Obawiam się, że brakowało mu wyobraźni, by zamienić się w cokolwiek. Okazało się, że jest koszmarnie nudnym człowiekiem. We wszystkim dostrzegał tylko negatywne strony. Patrzyłam na niego i miałam wrażenie, że otaczają go szarobure opary, przez które nie potrafię się precyzyjnie. Ile nie włożyłabyś dobrych chęci, nie dało się wykrzesać z niego nic pozytywnego. Żadnej przyjemności. Jedyne potoki nudnych, rozwlekłych słów. Więc, rozwód. Nie było wyjścia.

– Naprawdę? – Przechyliła głowę, uśmiecha się, jakby analizowała to, co właśnie usłyszała. – Rozwiodła się pani z mężem, bo był nudny? Nie wiedziałam, że to wystarczająca podstawa prawna.

– Musiałam. Jego nuda mnie *zabijała*. Jakby umarł za życia i chciał mnie pociągnąć za sobą.

– No tak, ale życie nie może być fascynujące przez cały czas.

– Och, kochanie. Moje właśnie takie jest. Jeżeli robi się nudna-we na dłużej niż dwa tygodnie, wprowadzam korekty. – Uśmiecham się, patrząc jej prosto w oczy. – I ta metoda się sprawdza, bo teraz żyję z Houndym, poławiaczem homarów. Przez cztery dni z rzędu potrafi opowiadać mi o homarach, ich skorupach, o przyptywach i odpływach, o niebie, i ani jedno jego słowo nigdy mnie nie znudziło, bo tak *naprawdę* posługuje się językiem miłości, życia, śmierci, wdzięczności, zadowolenia i radości.

W jej oczach pojawia się iskierka i widzę, że doskonale wie, o czym mówię.

– Tak czuję się w pracy. Jestem przedszkolanką, więc całymi dniami przesiaduję na podłodze i rozmawiam z dziećmi. Ludzie myślą, że to wyżyny nudy, ale mój Boże! Opowiadają mi zadziwiające rzeczy. Wdają się w filozoficzne dyskusje na temat swoich kupek, na temat uczuć gąsienic pełzających po krawężnikach, no i dlaczego żółta kredka jest najbardziej złośliwa, z kolei fioletowa bardzo miła. Uwierzy pani? Osobowość kredek. – Śmieje się, wyciągając przed siebie nogi. – Opowiadałam tacie o jednym takim dniu, ale nic nie rozumiał. Oczywiście uważa, że powinnam robić coś bardziej... *doroślego*. Byłby szczerze zachwycony, gdybym zainteresowała się biznesem – przerywa, wygląda na lekko zażenowaną, po czym dodaje – tak naprawdę mój tata jest bardzo miły, ale ufundował mi strasznie drogą uczelnię, rozumie pani, a ja skończyłam jako przedszkolanka. Moja siostra, o, z tej to jest dumny. Została chemiczką. Ale ja? Nic specjalnego. No więc, mówię mu: „Tato, patrz, masz jedną wyjątkową córkę i jedną zupełnie zwykłą, jedna na dwie, to całkiem dobry wynik”.

– Posłuchaj – mówię, bo to wszystko aż poderwało mnie na nogi. – Chodź ze mną na zewnątrz. Muszę stąd wyjść. Widzisz, jak cała negatywna energia zbiera się o tam, przy fortepianie? Widzisz? Aż powietrze pociemniało. Myślę, że musimy się przejść i złapać trochę prawdziwego powietrza.

Wygląda niepewnie.

– Może powinnam poszukać Noaha. Gdzie on się podział?

Nagle obie sobie uświadomiamy, że wokół nas trwa przyjęcie, ludzie rozmawiają w małych grupkach, a Wendy króluje nad świątą w jadalni, zanosząc się zgrzytliwym śmiechem.

Wyjaśniam jej, że Noah poszedł gdzieś ze swoim przyjacielem Whipple'em. Że są nierozłączni. Powinna to wiedzieć.

– Ach, tak. Sporo słyszałam o Whipple’u – odpowiada. – Może powinnam iść z nimi porozmawiać. Uspokoić Whipple’a, że nie będę żoną, która, no wie pani, rozdziela kumpli.

– Powinnaś wyjść ze mną na zewnątrz. Whipple nie ucieknie. Oczywiście jesteś tu gościem honorowym, więc będziemy musiały zaplanować wyjście tak, żeby akurat nikt nas nie zatrzymał. Jak sobie radzisz w skradaniu? Po prostu chodź za mną i, na miłość boską, nie patrz nikomu w oczy. – Złapałam ją za rękę, a następnie z opuszczonymi głowami ruszyliśmy przed siebie, przemknęliśmy przez tylny korytarz i dalej przez kuchnię.

Pokojówki myją tacki i jedna z nich – Mavis, jak zauważyłam zakochana w kurierze UPS, który przyjechał dziś z przesyłką – woła do mnie:

– Jest zimno, pani Holliday.

Odpowiadam jej, że zaraz wrócimy na herbatę.

W końcu udaje nam się wyjść w tak zimne i ostre nocne powietrze, że aż musimy wziąć głęboki oddech. Jest cudnie, rozległy ogród ciągnący się aż po pole golfowe, żywopłoty oraz ogród różany schodzący do stawu. Żółtawa poświata przyjęcia rozlewa się na patio, a ogród rozświetlają dziesiątki lampionów – papierowych torebek lśniących elektrycznymi świeczkami.

Co za doskonała noc... Nawet nie dziwię się, gdy zaczyna padać delikatny śnieżek, jakby ktoś przycisnął jakiś włącznik, by zapewnić nam przyjemną aurę.

– O Boziu! – Marnie wyciąga dłonie. – Proszę popatrzeć! Rzadko mam okazję oglądać śnieg! Wspaniale!

– Pierwszy śnieg w tym roku. Ten zawsze zachwyca.

– Noah mówił, że pani tu dorastała. Tęskni pani?

– Nie. Nie w moim Brooklynie.

Opowiadam jej o szalonym domu i szalonej, choć nielicznej, wspólnocie znajomych – pstrokatej miksturze dzieciaków, rodziców i staruszków nieustannie odwiedzających się w swoich mieszkaniach, opowiadających sobie historie, dających sobie rady

i rozstawiających się po kątach. Opowiadam jej o Loli, mojej najlepszej przyjaciółce mieszkającej tuż obok mnie, która dwadzieścia lat temu straciła męża, a także o Jessice i jej słodkim, przedziwnym synku, o ich potrzebie miłości, a także o strachu, który wszyscy odczuwają, kiedy zbliża się ku nim miłość – a potem, bo przecież Marnie musi to wiedzieć, wyjaśniam, że zajmuję się swataniem ludzi, gdyż po prostu nie potrafię się powstrzymać przed znajdowaniem im drugich połówek. Chcę opowiedzieć jej też o Patricku, ale powstrzymuję się, bo otwiera szeroko oczy.

– Zajmuje się pani swataniem?

Bingo! Oto dotarliśmy do punktu, do którego chciałam nas doprowadzić.

– Tak. Kiedy widzę ludzi, którzy muszą być razem, uruchamia się we mnie ten pajęczny zmysł. Też to masz, prawda?

Patrzy na mnie zaskoczona.

– Skąd pani wiedziała? Przez całe życie snuję się w tę i w tę i o tym myślę. Widzę dwoje ludzi i po prostu wiem, że muszą być razem, ale nie wiem skąd to się bierze. Po prostu... wiem.

– Tak, u mnie jest tak samo.

Milknę, bo chcę, żeby ona mówiła.

– Mój największy wyczyn to znalezienie męża siostrze. To brat mojej współlokatorki, poznałam go, gdy przyjechałam zabrać ją na ferie świąteczne, i gdy tylko go ujrzałam, wiedziałam, że będzie idealny dla Natalie. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Moje serce dosłownie *cierpiało*, dopóki ich ze sobą nie poznałam. A potem, naturalnie, gdy już się poznali, fajerwerki! Zakochali się niemal od pierwszego wejrzenia. Nie wiem skąd, ale po prostu wiedziałam, że tak się to skończy.

– Oczywiście, że wiedziałaś – mówię zyczliwie.

Spoglądam na ogród i drzewa odbijające się cienistymi sylwetkami na białym, śnieżnym niebie, i mam ochotę paść na kolana z wdzięczności. Oto jestem; stoję u kresu życia, a wszechświat zsyła mi ją. Nareszcie.

– Masz mój dar – oświadczam, gdy na powrót mogę mówić.

– Myśli pani, że to dar? Mnie się wydaje, że po prostu siedzę i bez przerwy myślę o rzeczach typu: „Wow, moja koleżanka z pracy, Melinda, pewnie chętnie spotkałaby się raz czy dwa z kolesiem, który prowadzi po zajęciach treningi piłki nożnej, bo w sumie do siebie pasują”. Tymczasem moja siostra wymyśla rzeczy, które mogą ocalić świat, a mój umysł zaprzęta tylko to, które osoby w moim otoczeniu mogłyby się w sobie zakochać. Wielkie mi rzeczy.

Moje serce wali tak mocno, że aż muszę się uszczypnąć, żeby zejść na ziemię.

– Proszę cię, przewrotną cechą miłości jest właśnie to, że dla wszystkich *naprawdę* stanowi wielką rzecz, a nie jakieś zabezpieczenie czy polisę ubezpieczeniową na samotność. Miłość jest *wszystkim*. Steruje całym wszechświatem!

– Cóż, nie jest ważniejsza od prac nad lekarstwem na raka.

– Owszem, jest. To siła życia. Po prawdzie, nie ma nic poza nią.

Oplata się własnymi ramionami, a ja patrzę, jak płatki śniegu opadają delikatnie na jej ramiona.

– Czasami, widzę wokół ludzi kolory. I małe światełka. Moja rodzina byłaby przerażona, gdyby się o tym dowiedziała. Pewnie uznaliby to za jakąś chorobę neurologiczną. Ale ja je widzę, mgiełki iskierek pojawiające się nie wiadomo skąd.

– Wiem. To po prostu energia myśli. – Przygryzam wargę i postanawiam iść na całość. – Wykorzystywałeś kiedyś swoje myśli, żeby coś sprawić? Ot tak, dla zabawy?

– Co ma pani na myśli?

– Patrz. Obróćmy się, spójrzmy na to okno. Widzisz...? Hmm... wybierzmy tę kobietę w czerwonym swetrze.

Śmieje się.

– Którą? Wszystkie są ubrane w czerwone swetry.

– Tę rudą. Omiećmy ją myślami. Wyślijmy jej trochę białego światła. No dawaj, zobaczysz, co się stanie.

Obie milkniemy. Ja omywam kobietę poświatą białego światła, jak zawsze. Oczywiście po trzydziestu sekundach odstawia drinka i rozgląda się po pokoju, jakby usłyszała, że ktoś ją woła. Marnie śmieje się zachwycona.

– Widzisz? Udało nam się. Posłałyśmy jej uderzenie czegoś dobrego, a ona to przyjęła.

– Chwileczkę. To jakaś energia? Zawsze działa?

– Nie zawsze. Czasami trafiasz na opór. Robię to tylko dla zabawy. Swatanie zdaje się brać zupełnie skądinąd. Mam wtedy wrażenie, że coś mi *pokazuje*, którzy ludzie powinni być razem.

Patrzy na mnie z zainteresowaniem. Czerwone rumieńce na jej policzkach lśnią coraz żywiej.

– Udało się pani wymyślić, jak żyć ze swatania? Może ja powinnam o tym pomyśleć.

– Och, kochanie. Żyję z tego, że jestem sobą. Nauczyłam się już, że ta sama intuicja, która daje mi wiedzę, kto z kim powinien być, prowadzi mnie też dokładnie do tego, czego w życiu potrzebuję. Odkąd postanowiłam, że będę żyła, tak jak chcę, byłam za to nagradzana.

– Nieźle – śmieje się głośno. – Już widzę, jak staram się to wyjaśnić tacie. – Łapie mnie za rękę. – Hej! Przyjedzie pani na nasz ślub? Bardzo, bardzo bym chciała, żeby pani na nim była.

– Oczywiście, że przyjadę – odpowiadam. *Jeżeli jeszcze będę na tym świecie, jeżeli dam radę.*

I w tym momencie wszechświat najwyraźniej postanawia, że koniec tego dobrego, ponieważ tylnymi drzwiami wychodzi Noah, a następnie maszeruje w naszą stronę. Niczym żołnierz na jakiejś irytującej misji.

– Wszędzie cię szukałem. O Boże, śnieg pada! A wy nie macie nawet kurtek!

– Nie potrzebuję kurtki. Jest wspaniale – mówi Marnie. – Popatrz, jak się skrzy w świetle. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– To tylko drobna zadymka. – Podchodzi i zarzuca jej rękę na ramię. *Jest taki przystojny, myślę sobie. Ciemne włosy, ładne ciemne oczy, ale to takie smutne, że zawsze towarzyszy mu pochmurna, beżowa aura.* Marnie natomiast robi się jaskrawa, ślicznie różowa i spogląda na niego z uczuciem. Wygląda, jakby ktoś spryskał ją gwiazdkami.

– Odbyłam właśnie rozkoszną rozmowę z twoją narzeczoną.

– To świetnie, ale musimy się zbierać – oznajmia, nawet na mnie nie spoglądając. – Dobrze cię widzieć, ciociu Blix, i przykro mi, że byliśmy tak krótko, ale musimy jechać na jeszcze jedno przyjęcie.

Jestem pewna, że już nie pamięta, iż kiedyś mnie uwielbiał, że chodziliśmy razem po lasach i skakaliśmy w gumowcach albo na bosaka po kałużach, a jednego lata chwytałyśmy świetliki i maleńkie rybki, błogosławiliśmy im i puszczałyśmy wolno. Ale to było dawno i wychodzi na to, że gdzieś po drodze przejął postawę swojej matki, czyli uznał, że mną już nie warto zawracać sobie głowy.

Pogodziłam się z tym – naprawdę. Liczyłam na znacznie więcej, ale przyzwyczaiałam się do obojętności ze strony rodziny do tego stopnia, że nawet nie przeszkadza mi już, gdy przewracają oczami, kiedy myślą, że nie widzę i jak zawsze mówią: „Och, Blix!”

Marnie łączy dłoń z dłonią Noaha, daje mu całusa w policzek i obwieszcza mi, jakbym sama o tym nie wiedziała, że jest *najlepszym* nauczycielem trzecich klas i zarówno jego uczniowie, jak i ich matki, kochają go na zabój. Spoglądam na niego, uśmiechając się.

Noah przestępuje z nogi na nogę, czuje się niekomfortowo.

– Marnie, obawiam się, że naprawdę musimy już iść. Korki będą coraz większe.

– Oczywiście, że musicie. Ja też wykręcę się z tego przyjęcia, gdy tylko wymyślę wiarygodną wymówkę.

Jego wyraz twarzy nie zmienia się ani trochę, ale ona uśmiecha się od ucha do ucha i odwraca do mnie.

– Więc... – mówi do niej. – Przyniosę ci kurtkę. Jest w przedpokoju?

– Sama ją znajdę – odpowiada. Dotykam jej ręki, a kiedy na mnie spogląda, ledwie zauważalnie kręcę głową. *Daj mu iść.* Czekam, aż Noah odejdzie wystarczająco daleko.

– Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Jesteś niesamowita i bardzo silna, czeka cię wielkie, ogromne życie. Świat ma dla ciebie w zanadrzu masę niespodzianek. Wyniesie cię na wyżyny.

Śmieje się.

– Oj, chyba nie przepadam za niespodziankami.

– To będą dobre niespodzianki, jestem pewna. To ważne. Nie gódź się na nic, czego nie chcesz. To najważniejsze.

Zamykam oczy. Chcę jej powiedzieć, że aż opływa złotem, a Noah jest cały beżowy, a gdy na nią patrzy, powietrze staje się mętne – i gdybym tylko mogła się na to zdobyć, gdybym nie wiedziała, że uzna mnie za wariatkę, powiedziałabym jej, że jesteśmy ze sobą związane, że będę miała ją na oku.

Ale wraca Noah z kurtką, torebką oraz poleceniem dla Marnie: musi iść do środka i pożegnać się z całą rodziną.

Obraca się do niego.

– Twoja ciocia Blix mówi, że przyjedzie na wesele, wspaniale, prawda?

Pomaga jej założyć kurtkę.

– W takim razie powiedz mojej mamie, żeby dopisała ją do listy. – Muska mnie wargami w policzek. – Trzymaj się – rzuca na odchodne.

Czas iść. Odchodzi w typowo męski, niecierpliwy sposób, pokazując gestem, żeby Marnie szła za nim.

– Masz! Weź to! Trochę twoich barw. – Ściągam mój ulubiony szal z niebieskimi atłasowymi barwami i sterzącymi na wszystkie strony frędzlami, owijam nim jej szyję, a ona się uśmiecha i daje mi soczystego buziaka.

Kiedy wchodzi do środka, widzę jak zwraca ku niemu twarz, różową, złotą, szkarłatną od miłości, otuloną gwieźdną mgiełką.

Pojechali. Powietrze wokół mnie z wolna się uspokaja. Iskierki bledną i wypalają się, jak zimne ognie na Dzień Niepodległości, które po wyczerpaniu paliwa zamieniają się w zwykłe, ostre druciki.

Zamykam oczy, nagle czuję się wypompowana, zmęczona. Dociera do mnie coś, o czym wcześniej nie wiedziałam, prawda bardziej natarczywa, niż wszystko, co czułam do tej pory: Mar nie MacGraw i Noah się nie pobiorą.

Tak naprawdę, to już jest po wszystkim.

2 MARNIE

– Mój Boże, ależ to było fiasko – oświadcza Noah w samochodzie. – Monumentalne! A ty, Whipple, świrze, mógłbyś chociaż udawać, że jesteś trzeźwy, gdy prowadzisz? Przynajmniej postarać się o brak zarzutów za jazdę pod wpływem? Fajnie byłoby też przeżyć.

Przysięgam, że samochód Whipple'a – nowiutki kabriolet BMW – sprawiał wrażenie, jakby brał zakręty na dwóch kołach, a on sam najwyraźniej opanował sztukę kierowania dwoma palcami lewej dłoni, żeby w prawej móc swobodnie trzymać drinka. Czerwony płyn nieustannie chlusta ze szklanki na siedzenia i deskę rozdzielczą.

Automatycznie wsiadłam na tylną kanapę, ale po chwili, ku mojemu zaskoczeniu, Noah zajął miejsce obok mnie, zostawiając Whipple'a z przodu samego, co oznacza, że ten musi bez przerwy zapuszczać żurawia do tyłu, by przypadkiem nie uronić nic z rozmowy. Za każdym razem, gdy obraca głowę, auto schodzi z kursu, a on tymczasem jeszcze mocniej dociska pedał gazu.

Och, znaczna część wieczoru okazała się rozczarowaniem. *Nie* chcę zaczynać pożycia małżeńskiego od problemów z teściową. Moja szefowa, Sylvie, mówi, że nie ma niczego gorszego. Teraz słyszę w głowie dodatkowo głos mojej matki: „To bardzo nieuprzejme, że przez cały wieczór siedziałaś z boku i rozmawiałaś z tą starszą panią! Powinnaś była zapoznać się z innymi gośćmi! Właśnie temu służą takie przyjęcia, żebyś mogła poznać krewnych i przyjaciół narzeczonego”.

I jeszcze to największe rozczarowanie – wielki Simon Whipple, o którym słyszałam tyle fantastycznych rzeczy, okazuje się najzwyczajszym czerwonicym, banalnym, ryczącym ze śmiechu, otyłym studencikiem z bractwa. Wydaje się, że, przebywając z nim, Noah z minuty na minutę schodzi do jego poziomu.

Z tego, co wiem, zmierzamy do jednego z ich przyjaciół, którego, według Noaha, koniecznie muszę poznać. Zapowiedział już, że urządzi mi objazd po rodzinnym mieście. Żebym poznała wszystkich „wariatów”. Przyciąga mnie do siebie, dość brutalnie, i zaczyna ssać moją szyję, jakby chciał mi zrobić malinkę. Jakby pomyślał, że skoro siedzimy razem na tylnej kanapie samochodu, to znowu jesteśmy w liceum.

– Jasna cholera, przepraszam za to, co ci tam zrobiłem – mówi mi wprost do ucha, zdecydowanie za głośno – że zostawiłem cię samą w szponach ciotki Blix.

– Musisz jej to wynagrodzić – rzuca Whipple.

– No nie? Ona jest jak mieszkająca w lesie starucha, która pożera dzieci.

– Bo naprawdę jest wiedźmą – mówi Whipple. – Marnie, masz szczęście, że wyszłaś z tego cało. Mówię mu: „Stary, musisz iść po swoją dziewczynę. Bo wydana na żer twojej matce i ciotce, ucieknie i już nigdy jej nie zobaczysz”.

– Nie ucieknie – oznajmia Noah. – Jest już moja, raz na zawsze.

Odsuwam się. Drapie mnie jego broda, a z ust śmierdzi mu jak z browaru. Dotykam szala, który mi dała ciocia Blix. Jest niebywały, w tak wielu odcieniach niebieskiego oraz z dziurami, które wyglądają tak, jakby zostały wypalone celowo.

– Naprawdę jest wiedźmą? – pytam, na co obaj zanoszą się śmiechem. – Nie, nie, powiedzcie mi. Naprawdę praktykuje magię? Lata na sabaty i tak dalej?

– O sabatach nic nie wiem – odpowiada Whipple – ale na pewno rzuca zaklęcia, co nie, stary?

– Zaklęcia, mikstury i cały ten szajs. Zna się na tym. Jeżeli chcecie znać moje zdanie, to jest to jedno wielkie przedstawienie.

– Mnie się wydaje miła. Polubiłam ją.

Noah nachyla się między przednimi siedzeniami, wyjmując z dłoni Whipple’a drinka, a następnie opróżnia szklanę.

Whipple parska gromkim śmiechem.

– Ej, to moje! Zasłużyłem na to, stary!

– Bardziej tego potrzebowałem, a poza tym, ty prowadzisz.

– Powiedz mi. – Wracam do tematu. – Co takiego zrobiła? Nie wierzę, że naprawdę uważacie ją za wiedźmę.

Ale tym razem mnie zignorowali i zaczęli się zastanawiać, czy na imprezie, na którą jedziemy, będą ich koleżanki z liceum. Komuś o imieniu Layla miało rzekomo *odwalić* na wieść, że Noah zaręczył się bez konsultacji.

Oglądam przez okno mijane domy – okazałe posiadłości z rozległymi trawnikami, udekorowane migającymi lampkami oplatającymi pnie drzew, w oknach natomiast widać pięknie ubrane choinki. „Święte drzewka, la la la la. Takie świetne, tak bogate”.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę tu pasowała.

To śmieszne, myślę sobie później, poznajesz przystojnego faceta na jakimś przyjęciu w Kalifornii, opowiada, że napisał kiedyś scenariusz filmowy, który prawie został przyjęty, ale na jego podstawie nie powstał jednak film, więc teraz uczy w szkole i kocha dzieci, a zimą kocha jeździć na snowboardzie, a później, w łóżku, gdy już skończył wyczyniać naprawdę przyjemne rzeczy, wyjawia, jak bardzo pragnie pomagać ludziom na całym świecie, a ty nie możesz uwierzyć, jak wtedy zmienia się jego spojrzenie, jak głębokie się staje, i zakochujesz się w tych strzępach osobowości, które przed tobą odłonił – a później, znacznie później, gdy już się do ciebie wprowadził, kupił ci ekskluzywną

wyciskarkę do czosnku wraz z parą wspaniałych turkusowych kozaczków i napisał dla ciebie piosenkę, którą potrafi zagrać na gitarze, jedziesz z nim do jego rodzinnego miasta i przekonujesz się, że, o mój Boże, jest zepsutym synalkiem jakichś *bogatych* ludzi, którzy przymykają oko na to, że kogoś zamordował, i wszyscy mają cię gdzieś, z wyjątkiem jakiejś sędziwej ciotuni, której najwyraźniej nikt nie lubi.

Dostrzegasz, ile w nim sprzeczności. I że będziesz musiała ułożyć się – i oczywiście zrobisz to – z ludźmi, którzy staną się twoją rodziną. Z czasem nauczysz się ich zadowalać. Ale wiesz też, że po tej nocy będziesz patrzyła na niego zupełnie inaczej, dowiedziawszy się między innymi, iż ledwie przeżył dzieciństwo, a potem cały i zdrowy znalazł drogę do twojego serca.

I nadal będziesz kochać każdy jego kawałeczek.

Ale potem, już po powrocie do domu, zastanawiasz się, dlaczego nie chce odpowiadać na pytania dotyczące ciotki Blix, nie przewracając przy tym oczami, i dlaczego marudzi, że zaprosiłaś ją na wesele, nie pytając o zdanie jego matki. Zmienia temat, ale ty wracasz do poprzedniego, a wtedy on wzdycha i w końcu zaczyna mówić.

– Och, nie dostała pieniędzy, na które liczyła, więc wyniosła się na północ i zdziwaczała. Patrzy na wszystkich, jakby potrafiła przejrzeć ich na wylot, przebić się wzrokiem przez wszystkie warstwy tych złych rzeczy.

Mówisz coś o tym, że może ona podziwiała te złe rzeczy (tu robisz palcami cudzysłów), on pyta skąd ta obsesja na punkcie ciotki Blix, a ty odpowiadasz, że wcale nie masz żadnej obsesji. Bo nie masz.

Zachodzisz natomiast w głowę, dlaczego w wolnych chwilach, kiedy nie masz do roboty nic innego, prowadzisz w głowie rozmowy z nią. Dumas, czy ma rację i czy miłość rzeczywiście jest wyrazem wszystkiego we wszechświecie, i czy isierki, które widzujesz, są prawdziwe. Tłumaczysz jej, że myli się co do cie-

bie – że nie czekają cię żadne wielkie rzeczy i niespodzianki; że chcesz po prostu zwykłego życia, pragniesz szczęścia w otoczeniu wnuków. Domu na przedmieściach i trójki dzieci.

Jednak skądś, nie potrafisz wyjaśnić skąd, wiesz, że nie dała się przekonać, a ty dokładnie w chwili, w której ją poznałeś, wkroczyłeś w coś wielkiego, co może okazać się jakimś mistycznym szaleństwem, którego nigdy nie będziesz w stanie nikomu wyjaśnić. Jak wtedy, kiedy poszłaś do planetarium i widząc gwiazdy reprezentujące miliardy lat świetlnych, poczułaś się jak mały punkcik pulsującego światła, ledwie mrugnięcie we wszechświecie, któremu jednak pisane jest istnienie.

Może właśnie przez to wszystko boli mnie głowa.

3 MARNIE

Pięć miesięcy później – po wielu tygodniach ślubnych przygotowań, takich jak kupowanie sukni, pisanie zaproszeń, wybieranie sali (w większości załatwianych przez moją mamę i tylko zatwierdzanych przeze mnie telefonicznie i przez Skype’a) – siedzę w małym pokoiku przy kościele w rodzinnym mieście rodziców, Jacksonville na Florydzie. W pokoiku, w którym w normalnym wszechświecie piękne panny młode wyczekują swoich druhen, podczas gdy ja patrzę jedynie, jak mój świat w zwolnionym tempie rozpada się na kawałki.

Noah nie pokazał się na ślubie.

Spóźnia się już czterdzieści siedem i pół minuty, ale, jak tłumaczę każdemu, kto chce mnie słuchać, wszystko będzie dobrze. Wkrótce wejdzie dziarsko do kościoła. *Przyjedzie.*

Mógł przynajmniej napisać: *Hej! Jestem w kościele episkopalnym, gdzie się wszyscy podziali?!* A ja bym odpisała: *Hahaha! Jaki episkopalny?! Bierzemy ślub w metodystycznym, przecznicę dalej!* I wymienilibyśmy się uśmiechniętymi emotikonami, po czym przyjechałby tu w te pędy i wszystko byłoby w porządku.

Ale jak na razie nic takiego się nie wydarzyło.

Jak na razie *dzieje się* tyle, że zalewa mnie pot w tej sali tortur, w której przebywam razem ze swoją siostrą, Natalie, oraz dwiema przyjaciółkami z dzieciństwa, Ellen i Sophronii. Mam na sobie wybraną przez matkę suknię, w której, jak właśnie zauważyłam, wyglądam niczym kolosalny, biały fotel. Mój język wysechł na wiór i zamienił się w kawałek nieświeżego mięsa zalegający w moich ustach, włosy mam ściągnięte w tak ciasny kok, że boli

mnie czoło, a moje stopy spuchły tak bardzo, że są teraz dwa razy większe. *I jeszcze* w tym pozbawionym okien pokoiczku jest ze czterdzieści stopni, a moja siostra i druhny patrzą na mnie litościwie, bo są tak zażenowane, że wołają po sam kres świata gapić się w komórki.

Słyszę, że w świątyni organistka na okrągło gra trzy te same akordy. Zastanawiam się, jak długo tak pociągnie i po czym pozna, że czas przestać. A tak w ogóle, to czyją robotą jest odwołanie ślubu? Może to tak jak ze śmiercią, wielbny, mój ojciec – i prawdopodobnie *ja* – spojrzą na zegarki i powiedzą: „No, to już. Czas: szesnasta czterdzieści cztery. Z wesela nici, kochani”.

Bożebożebożebożeboże. Noah nigdy się nie spóźnia, chyba że ma do czynienia z jakimiś liniami lotniczymi, a to oznacza, że albo umarł, albo z Whipple'em i tymi dziewczynami z liceum jest właśnie w drodze ku jakiejś wspaniałej przygodzie. A w tym drugim wypadku będę musiała wytropić mojego niedoszłego męża i go zabić.

A co jeżeli nie żyje? Co jeżeli lada moment w kościele pojawią się policjanci i zawiozą mnie do szpitala, w którym będę musiała stać w sukni ślubnej, szlochając histerycznie podczas identyfikacji jego zwłok?

Odpinam welon, uwalniając włosy z narzuconych im więzów.

– Nie – rzuca Natalie. – Nie rób tego. – Podchodzi i siada obok mnie. Ma wilgotne, błyszczące oczy. Jest w szóstym miesiącu ciąży i może dlatego, że nosi w swoim ciele przyszłość, stała się ostatnio ciut przewrażliwiona, boi się, że może się okazać, iż świat wcale nie jest przewidywalnym, racjonalnym miejscem. Nieustannie wygląda tak, jakby zaraz miała się rozpląkać. Dwa dni temu odebrała mnie z lotniska, gdy przyleciałam z Kalifornii na swoje wesele, i kiedy w radiu zagrali piosenkę Prince'a, to przysięgam na Boga, musiała stanąć na poboczu, bo przez łzy nie mogła dalej prowadzić. A to tylko dlatego, że Prince nie powinien był umrzeć, jak wyjaśniła.

– Okaże się, że to wszystko ma jakieś racjonalne wyjaśnienie – mówi wysokim, rozedrganym głosem. – Może zamknęli most. Może zamknęli sklep ze smokingami. Napisz do niego jeszcze raz.

Parskam śmiechem.

– Poważnie, Nat? Most? Sklep ze smokingami? Na serio?

– Napisz.

Więc piszę.

Cześć, małpeńko... jak leci?

Nic.

Nie mogę się doczekać, by cię zobaczyć. #dziśślub!!!

Jak makiem zasiał. Pięć minut później piszę: *Wpadniesz? LOL!*

Nie mówiąc nic Natalie, zawieram umowę ze wszechświatem: jeżeli odłożę telefon i nie spojrzę na niego, aż policzę do tysiąca, to gdy znowu wezmę go do ręki, zobaczę, że do mnie pisze. Ujrzę te trzy podrygujące kropczki, a on napisze, że jechał, ale po drodze musiał ocalić komuś życie albo znalazł na jezdni rannego psa, szukał właściciela i, choć jest mu bardzo, bardzo przykro, to co za człowiek zostawiłby rannego psa?

Liczę do ośmiuset czterdziestu ośmiu i mówię wszechświatowi: „Zapomnij”. Wstukuję do komunikatora jedną wiadomość za drugą.

WTF? Wszystko ok?

Noahu Spinnakerze, jeżeli zaraz się tu nie stawisz, to OSZALAJĘ I PEWNIEM UMREĘ!!!

Proszęproszęproszęproszęproszę.

Proszę cię.

Przez drzwi zagląda mój tata, odstrzelony w smoking typu „ojciec panny młodej”.

– Jak się trzymasz, kaczuszko? – pyta. Nie nazywał mnie tak, odkąd jako dziesięcioletnia dziewczynka poprosiłam, żeby przestał. Zrozumiałam więc, że zaczyna odlatywać.

– *Daje radę, okej?* – rzuca Natalie. – Może ktoś powinien się ruszyć, poszukać tego sukinsyna i go tu ściągnąć?

Wszyscy zamieramy jak sparaliżowani.

Widzę, że tata myśli sobie „*Oho, hormony i ciąża*”, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Yyy... jest tu babcia cioteczna Noaha, pyta, czy może zamienić z tobą słowo.

– Jasne, powiedz, żeby weszła. – Przetykam ślinę.

I wchodzi Blix, wygląda, jakby ubrała się na wyprzedaży dobroczynnej w latach siedemdziesiątych, ale w dobrym, zabawnym znaczeniu tego określenia. Ma na sobie długie różowe tiulowe spodnie i jakąś posrebrzaną, skrzącą się koszulę z koronkowymi wstążkami zawiązanymi w luźne supły, długie turkusowe kolczyki i ze sto bransoletek wyklejonych paciorkami. Nic w jej stroju do siebie nie pasuje, a jednak jakimś cudem wygląda jak projekt artystyczny. Jej bujne, einsteinowskie włosy za pomocą pianki zostały ujęte w cienkie kosmyki, ma na ustach jaskrawo czerwoną szminkę, a jej oczy są dziś ekstra-błyszcząca i ekstra-przenikliwie – wzrok rentgenowski, jak mawia Noah, żeby mogła lepiej zobaczyć twoją duszę.

Muszę przyznać, że tli się we mnie słaba nadzieja, iż naprawdę jest wiedźmą. Może jest jak matka chrzestna z *Kopciuszka* i powie „czary-mary-hokus-pokus”, i Noah w jednej chwili objawi się tuż przede mną – a wtedy moje życie, które w tej chwili zdaje się zwijać do pozycji embrionalnej, poderwie się na równe nogi, rozprostuje, strzeli stawami i wróci do normalności.

Tak. Dokładnie w takim stanie się znajduję.

Ellen, Sophronia oraz Natalie wyglądają na szczerze wstrząśnięte. Unoszę dłoń w apatycznym geście.

– O, czyżbym trafiła do piekła? – pyta Blix. Wszystkie słabo się śmiejemy. – Siły życiowe dosłownie *uciekają* z tego pomieszczenia! – Bierze się za biodra, wodzi po nas wzrokiem, chłonie nasze weselne stroje i przez ułamek sekundy jestem pewna, że

zaraz udzieli nam jakiejś modowej rady. Może musimy coś dodać? Oto gdzie popełniłyśmy błąd: cztery kobiety i ani jednego powłóczystego szala.

Ale zamiast tego podchodzi, ujmując moje spocone dłonie w swoje chłodne i kościste, a następnie mówi bez emocji, podczas gdy jej oczy aż lśnią figlarnością i kłopotami.

– Nie przyszedł tu, żeby robić ci więcej przykrości, chcę tylko powiedzieć, że mam nadzieję, iż nie będziemy musiały go dzisiaj zabić. Ale gdybyśmy musiały, to zabijemy. Chciałam cię poinformować, że jestem na to gotowa. Jesteście ze mną, dziewczyny?

Widzę, że Natalie zaczyna szybko mrugać.

– Myślę, że nie będziemy musiały go *zabić* – mówię cicho, choć, oczywiście, rozważałam to samo rozwiązanie. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby Blix o tym wiedziała.

– Tak, no cóż, mocno testuje swoje szczęście. – Podsuwa sobie krzesło, jak ktoś planujący posiedzieć dłużej. – Ale musimy o ciebie zadbać. Ważne jest jedno: *oddychasz*, jak należy? Pewnie nie, prawda?

Próbuję oddychać, żeby była zadowolona.

– Musimy poprawić nastrój, wiesz? Potrzebujemy Oddechu Radości. To z jogi. Pokażę ci. – I ku mojemu zaskoczeniu wstaje, wyrzuca ramiona nad głowę, po czym raptownie ściąga je po bokach i gwałtownie kuca, a gdy jej głowa niemal dotyka kolan, wydaje z siebie głośne „AAAAARRRRRR!”.

Podnosi się, po czym patrzy na nas.

– Pięć razy! Szybko! No dawać, drogie panie! Wykrzyczcie to. Aaarr! Aaarr!

Wszystkie, poza Natalie, spełniamy jej polecenie. Boimy się odmówić.

Gdy kończymy, Blix klaszcze.

– Doskonale, doskonale! O mój Boże. Młode kobiety są takie piękne, wiecie? A mężczyźni... no cóż, nie mam nic przeciwko nim, ale jeżeli chcemy być szczerze, to musimy przyznać, że większość

śmierdzi, poci się i wiecznie marudzi. Ale chyba i tak musimy ich kochać. – Kręci głową. – Musimy ich kochać. Taki żart natury. Nie da się z nimi wytrzymać, ale wystrzelać też nie można.

Wypowiedziawszy te słowa, nachyla się i składa na moim policzku miękki, suchy pocałunek, po czym patrzy mi prosto w oczy. Pachnie pudrem, herbatą i jakimiś ziołami, może marihuaną.

– Lubię cię. Uwierz mi. To mój prasiostrzeniec, ale podobnie jak wielu mężczyzn, zwłaszcza tych z mojej rodziny, nie jest wart złamanego grosza, co stwierdzam z przykrością. Myślę, że to równie dobry moment, jak każdy inny, żebyś zadała sobie pytanie, czy naprawdę go chcesz. Bo, tylko przypomnę, *możemy* wszystkie natychmiast stąd wyjść i pojechać na plażę. Popływać nago albo coś w tym stylu.

Stoi wyprostowana i znowu się śmieje.

– Nie ma za co. Wiem, że jesteście wdzięczne za wizję mnie pływającej nago, którą właśnie umieściłam w waszych głowach.

Sięga do swojego przepastnego stanika i wyciąga buteleczkę z jakimś olejkiem eterycznym. Muszę go ponoć powąchać, żeby się uspokoić, rozpogodzić i wyśrodkować aurę. Podsuwa mi ją pod nos. Mikstura pachnie jak róże zmieszane z lawendą. Nuci coś, ale nie słyszę co dokładnie, zamyka oczy i przykłada swoje czoło do mojego, łącząc nasze umysły.

– Dla dobra i wolnej woli wszystkich, inaczej być nie może. – Po czym otwiera oczy i ponownie zerka na nas wszystkie. – Posłuchaj, kochana, muszę wracać do krewnych. Tubylcy zaczynają się burzyć. Zastanawiają się, co napadło syna marnotrawnego i czy to ich wina. Wychowywali go w tak uprzywilejowanych warunkach i tak dalej. – Marszczy nos. – Przykro mi, że cię na to naraził. Naprawdę myślę, że z tym chłopakiem coś jest nie tak.

– Może po prostu zasnął – rzucam. – A może podnieśli most i nie może przejechać na drugą stronę. A może zawieruszył którąś część smokingu, a nie wiedział, w którym sklepie ze smo-

kingami robi zakupy mój ojciec, więc się zgubił i ma rozładowany telefon.

Blix śmieje się głośno.

– Tak, a może Merkury jest na orbicie wstecznej, może ma jet lag, a może wystąpiły plamy na słońcu. Kto wie? Ale *ty* sobie poradzisz. Wielkie życie. Pamiętaj. Tak jak ci mówiłam. Czeka cię wielkie, wspaniałe życie.

Posyła nam wszystkim po buziaku, a następnie wychodzi posuwistym krokiem. I wtedy to słyszę: warkot BMW Whipple’a na parkingu. Są. Pięćdziesiąt osiem minut spóźnienia, ale dotarli, do pomieszczenia znowu wpływa tlen, jakby ktoś odkręcił zawór.

Wstaję, chociaż nadal się trzęsę.

Słychać głośne kroki, drzwi otwierają się z hukiem i staje w nich Noah. Wygląda, jakby przybył na plan filmu batalistycznego, a nie na ślub. Ma posklejane włosy, jest nieogolony, jego oczy przypominają małe czarne kropki w morzu nabiegłej krwią białej przestrzeni i... i... mój Boże... ma koszulę od smokingu i dzinsy.

Zakrywam usta dłonią. Możliwe, że wydaję jakieś dźwięki. Coś w języku gołębi.

– Marnie. Marnie, musimy porozmawiać.

Prowadzi mnie na zewnątrz. *Na zewnątrz*, nie na parking ani na chodniczek, na którym mili ludzie rozmawiają po każdym nabożeństwie. Nie, wiedzie mnie za rękę na łąkę przy kościele, tam, gdzie szkółka niedzielna organizuje pikniki. Tam, gdzie w wieku siedemnastu lat pierwszy raz się całowałam. Ze Stevem Peacockiem. Jego rodzice siedzą właśnie w kościele i czekają, by zobaczyć, jak wychodzę za mąż.

– Marnie – zaczyna, a usta ma tak wysuszone, że niemal klekoczą, gdy mówi. Chcę, żeby przestał wypowiadać moje imię. Chcę, żeby wyglądał normalnie i szczęśliwie, jak to panowie młodzi, ale nic z tego. – Marnie, maleńka, bardzo mi przykro, ale obawiam się, że nie mogę tego zrobić.

I świat – wielki, rozległy, piękny świat – znika, kurczy się do rozmiarów małego punkciku znajdującego się tuż przede mną. Pozostał tylko ryk w moich uszach i głębokie przeczucie, że już nic – absolutnie nic – nigdy nie będzie miało sensu.